



WIECZORY RODZINNE

TYGODNIK ILLUSTROWANY DLA DZIECI



JEŻOZWIERZ MEKSYKAŃSKI.

W ogrodzie zoologicznym w Paryżu widzieć można ciekawy okaz pewnego rodzaju jeżozwierz, zwanego przez naturalistów *Sphingurus mexicanus*. O kształtach tego zwierzęcia, ciągle nieruchomie skulonego w głębi klatki, trudno nabrać dokładnego wyobrażenia; w rzadkich chwilach gdy się raczy poruszać, dostrzedz można, że jest wielkości kota z długim ogonem, głowę ma grubą, pysk spłaszczony, nogi

nie obrosnięte, opatrzone zagiętymi do środka pazurami, co dowodzi, że z równą łatwością jak niektóre gatunki małp, chwytą się gałęzi, w czem pomaga mu jeszcze ogon łuską zakończony. Głowa i większa część ciała zwierzęcia porośnięta jest ciemno-brunatną sierścią, wśród której gęsto tkwią kolce, wyróżniające się jaśniejszym żółtym kolorem.

Sphingurus ciągle niemal pozostaje nieruchomy, niby odrętwiały, za dotknięciem skowyczy jak młode sześcienie, a gdy mu dłużej dokuczają, kładzie się na ziemi i szerść najeża. Ojczyzną jego jest Ameryka na przestrzeni od Meksyku, do Rzeczypospolitej Argentyńskiej. Długość zwierzęcia wynosi jeden metr od głowy do końca ogona, który połowę tego wymiaru stanowi.

Bez wody zupełnie obywać się może, jak powiada pewien opisujący go podróżnik. Nieruchomość jego do tego posunięta stopnia że spędza 24, czasem nawet 48 godzin nie zmieniając położenia. Obecność ludzi nie zdaje się robić na nim wrażenia, gdyż niczem strachu swego nie objawia. Żywi się chętnie chlebem, kukurydzą, maniakiem i różnymi rodzajami traw i owoców, ale nie lubi mięsa, co świadczy, że nie jest dla innych zwierząt niebezpiecznym. Zdaje się być łagodnego usposobienia, pozwala się dotykać bezkarnie, tylko po dłuższem drażnieniu naj-za szerść, nie poruszając żadnego z członków ciała. Węch ma bardzo delikatny, za każdym bowiem wsunięciem do klatki pachnących kwiatów, rozdyma nozdrza. Zauważono, że pewien gatunek tych zwierząt istnieć już musiał w epoce geologicznej poprzedzającej naszą epokę, szczątki ich bowiem odnajdywane bywają w jaskiniach brazylijskich.

NIEZNAJOMA Z PODDASZA

powieść przez

Bronisławę Szawską.

(Dalszy ciąg).

— Ma wzrok przyjemny i rozumny — zawyrokował młodszy braciszek Wańdź w mundurku gimnazysty — zdaje mi się, że go polubię, jest sympatyczny.

Wandzia z wdzięcznością spojrzała na brata.

Ojciec nie chcąc robić przykrości córce, poglaskał pieska i rzekł z uśmiechem:

— Ha, kiedy już jest naszym domownikiem, niechże nam będzie miłym, uroda nie jest znów największą zaletą.

Pies rzeczywiście był rozumny, co poznać można było, po spojrzeniu pełnem wdzięczności, zwróconem na pana domu.

Teraz Wandzia wszystkim po kolei przedstawiała lokatora z pod schodów, a że dziewczynkę w domu kochano bardzo, życzliwem więc okiem spojrzano na jej Biedusia i rzecz cała zakończyła się najpomyślniej.

Dostał więcej słomy na posłanie pod schodami, miał swoją własną miseczkę, pozwalano mu przychodzić do pokoju, i bawiono się radością, z jaką się wtedy witał ze wszystkimi.

Po tygodniu już Biedus zmienił się bardzo, bo i Antosia chcąc zrobić przyjemność kochanej i dobrej panience, kupiła grłą szczotkę, i tak wyczesła Biedusia, że świecił się nawet, i niktby nie poznał w tym wesołym i pewnym siebie elegancie, owego zbiedzzonego, skulonego i drżącego od zimna psiaka.

II.

Państwo Brzescy od lat dziesięciu mieszkali w gubernialnym mieście N. Pan Brzeski był urzędnikiem a utrzymanie ich acz niezbytckowne, było jednak dostatnie. Mieszkali przy jednej z bocznych ulic, aby przy mieszkaniu mieć ogródek, czego zawsze pragnęła pani Brzeska. Zajmowali cały dom parterowy, w którym prócz stróża mieszkającego w małym domku w podwórzu, nie było więcej lokatorów. W każdym szczycie domu był pokój, jeden zajmowała pani Brzeska na skład rozmaitych przedmiotów domowych, po drugiej stronie pokój był dla gospodarza domu, który parę razy do roku przyjeżdżał na dni parę, w razie gdy interesa domu wymagały jego obecności.

Od frontu było coś w rodzaju facjatyki, mającej szerokie okno niezbyt kształtne, gdyż wysokość jego nie odpowiadała szerokości.

Czy tam było poddasze, czy pokoik, nie wiadomo, bo nikt nie był ciekawy pytać o to. Parę razy spotkano przekupkę z jabłkami w koszyku, schodzącą z góry, a na ofuknięcie służących poco tam chodzi, odpowiedziała wzruszając obojętnie ramionami.

— No, myślałam że tam kto mieszka, a może jabłek kupi. Panienska niech też kupi, takie śliczne jabłka. Aj, jaka panienska skąpa!

I wychodziła poprawiając czepka z szeroką szlarką.

Dzieci państwo Brzescy mieli dwoje. Wandzia, dwunastoletnia, którą poznaliśmy z powyższego opowiadania, i starszy o dwa lata od niej Władek uczeń III-iej klasy gimnazjalnej.

Kilka tygodni upłynęło od czasu gdy Biedus znalazł dach i opiekę, za którą wywdzięczał się okazywaniem przywiązania, na jakie mógł i umiał się zdobyć.

Z niezadowolaniem jednak spostrzegła Wandzia po kilka razy, że Biedusia całemi wieczorami nie było w domu.

Dziewczynka zaczęła go posądzać, że może od nich odejździe, jak to pewnie zrobił i poprzednio, gdy zbłąkanego i głodnego znalazła w bramie, przytulonego do ścian.

Zima w tym roku była nadzwyczaj ostra, mrozy i śniegi trwały bez przerw. Styczeń dobiegał już do końca.

Dnia jednego, a mroź był silny, Wandzia siedziała dość długo, ucząc się lekcji na dzień następny, a myśli jej nasuwało się często pytanie, gdzie też być może Biedus, do którego parę razy przez wieczór zaglądała, a nigdy nie było go ani w kuchni, ani pod schodami, gdzie miał stałe pomieszczenie.

Rodziców dnia tego nie było w domu, Wandzia ukończywszy ostatnie zadanie stanęła przy oknie, aby popatrzeć

trochę na miliony gwiazd mrugających jasnym, błyszczącym światłem, na czystym bez chmurki niebie.

Śnieg zaścielał cały dziedziniec, a wyglądał jakby utkany brylantami, mniejsze tylko ścieżki, przerzynały go w kilku miejscach.

Stała tak chwilę, gdy nagle wzrok jej ze zdziwieniem, a trochę i z pewnym niepokojem spostrzegł jakąś postać, której dotąd nigdy nie widywała.

Była to postać wysokiej, szczupłej kobiety, dziwnie przybranej, co przy pełni księżyca, najdokładniej widzieć mogła.

Postać ta miała na sobie ciemny szlafrok mężki, przewiązany w pasie sznurem, czoło związane białą chusteczką, a na tem czarny kaptur, sięgający ramion. Szła wolno, suwała się raczej, z założonemi na piersiach rękami.

Im dłużej Wandzia spoglądała na nią, tem większego doznawała niepokoju, gdy nagle o mało nie krzyknęła.

Przy nogach tej dziwnej istoty szedł Biedus, ze zwieszoną głową, jakby go jakiś smutek przygniatał. Takim nie bywał teraz nigdy.

Kobieta, stanęła przy sztachetach, oddzielających ogród od podwórza, wsparła się o nie, a ze wzniesionej nieco głowy, znać było, że zapatrzyła się w czyste błękity, zapomniawszy o ziemi, o mrozie, od którego słabo ją zabezpieczało skromne jej ubranie. Biedus z rezygnacją położył się na śniegu, nie odstępował on ani na krok tej dziwnej, nieznajomej kobiecie.

Obawa zniknęła z serca Wandzi, zastąpiła ją ciekawość i żal, że Biedus mówić nie umie.

— Powiedziałby mi wszystko — szepnęła sama do siebie — a tak, może się nigdy nie dowiem kto to jest.

Oparła się o ramę okna, nie odwracając oczu od nieznajomej.

Stała tak długo, aż kobieta wyprostowała wysoką swą postać, i załamała ręce nad głową, jakby skargę, czy prośbę słała do nieba.

— O! jakaż ona musi być nieszczęśliwa — zawołała Wandzia ze współczuciem — muszę się o tem dowiedzieć kto to jest, ale jak, od kogo?

Nieznajoma weszła w korytarz, Biedus poszedł za nią.

W kilka chwil dziewczynka wyszła ostrożnie, zajrzała pod schody, psa nie było.

— To dziwne i ciekawe — szepnęła.

Długo zasnąć nie mogła, umyśliła jednak nie mówić o tem nikomu, gdyż za ciekawość sama lała się nieraz, mówiąc, że badanie cudzych tajemnic, jest rzeczą bardzo naganą. Ciekawość Wandzi była może jedyną jej wadą, z którą, trudno było bardzo walczyć dziewczynce.

Na drugi dzień po widzeniu tej tajemniczej postaci, była niedziela, a że mroź nie zelżał, państwo Brzescy sami poszli do kościoła, zostawiając dzieci w domu.

Tego tylko czekała Wandzia:

Po wyjściu rodziców, zarzuciła na siebie ciepłą, dużą chustkę i wyszła na podwórze.

Właśnie w tej chwili stróż wracał z miasta, czy z kościoła.

Był to człowiek stary, przygarbiony nieco, o pocziwej, łagodnej twarzy okrytej zmarszczkami.

— Dzień dobry Marcinkowi — rzekła Wandzia uprzejmie.

— Dziękuję panienco — odrzekł schylając baraniej czapki — oj, ale poco to panienska po takim mrozie chodzi po dworze.

— E, ciepło mi mój Marcinie — rzekła zbliżając się do starego — a jakże się ma dziś Marcinowa? czy zdrowsza?

— Tak oto, jak to stara — rzekł kiwając głową — gdzie tam o zdrowiu myśleć, kaszle i kaszle, aż słuchać trudno.

— A te ziółka, co mateczka moja dała, czy nie pomogły Marcinkowej.

— Niby trochę lepiej, toż łązi przynajmniej i jeść gotuje, aby tyle — rzekł stary, wyjmując tabakierkę i zapominając o mrozie — ale co cięższej roboty to już ani ruszy, wszystko muszę sam zrobić.

— Marcin tak dobrze wygląda, tak zdrowo, ani znać lat starych o których mówicie — rzekła Wańdzia zadowolona, że wciągnęła starego w gawędkę — robota wam pewnie nie ciężka.

— Toć chwalić Boga panienko, jakoś człek podołał wszystkiemu do tej pory — odrzekł z uśmiechem — na robotę też narzekać nie mogę, nie tak jej znów dużo.

— Jahym odwiedziła Marcinową — rzekła Wańdzia, której nogi ziębnąć zaczęły, a nie mogła odejść z niczem, postanowiła bowiem dowiedzieć się koniecznie coś o starej kobiecie chodzącej po podwórzu, gdy już wszystko w domu uciśzy się i do snu ułoży.

— Proszę, bardzo proszę, moja stara ucieszy się — rzekł spiesźnie Marcin podążając aby drzwi otworzyć — panienka bo taka dobra jak jej matusia, co to biednym nie pogardzą i nie stronią od chaty ubogiej.

Wańdzia uczuła wyrzut sumienia na tę pochwałę, jak dziś niezasłużoną zupełnie, intencja jej bowiem w odwiedzeniu Marcinowej nie pochodziła z miłości bliźniego, tej najpiękniejszej z cnót chrześcijańskich, zarumieniła się więc wchodząc do izdebki stróża i niemal pokornie, powitała Marcinową.

Staruszka, która krzątała się około obiadu, uradowała się bo w życiu samotnem ludzi podeszłych wiekiem, pożądaną jest twarzyczka młoda, tętnąca dobrocią, uśmiechnięta życzliwie.

Przyznać trzeba, że Wańdzia zapomniała prawie o powodzie swego przyjścia i z całą przyjemnością oddała się rozmowie, widząc jak tem cieszy staruszków.

Marcin pochodził ze wsi, u swego pana służył lat wiele, a ten na starość dał mu nie uciążliwy wcale obowiązek stróża, przy jednej kamienicy nie mającej wielu lokatorów, a że pobierał przytem dawne zasługi i ordynaryę, u starych nie było biedy, mogliby nawet trzymać sobie do pomocy jakiego krewniaka, ale, woleli sami sobie radzić i wieść życie ciche i spokojne.

— Chwalić Boga — mówiła Marcinowa — mogę jeszcze chodzić jako tako, do prania człek najmie, bo na to jedno siły już nie mam.

Po długiej dość rozmowie, Wańdzia obawiała się aby zbyt długo nie siedzieć u Marcinów, gdyż musiała wracać do domu, a to przywiodło jej na pamięć cel tych odwiedzin.

Ale jak się tu wziąć do rzeczy, zdawało jej się, że trudności będą wielkie, a żywa jej wyobraźnia tworzyła nawet pewne niebezpieczeństwa w wydobywaniu tej tajemnicy.

Jakie to miały być niebezpieczeństwa, nie wiedziała sama, czuła tylko niepokój w sercu i już, już chciała się cofnąć i odejść nie pytając, ale wredzona ciekawość, pobudziła ją znowu do działania.

— Marcin to nie ma wielkiej biedy z lokatorami — rzekła po chwili milczenia — nie ma w domu nikogo więcej tylko my. Czy prawda?

— Prawie, że nikogo — rzekł stary, zażywając ulubionej tabaczki — to też człowiek żyje w spokoju i w cichości może Boga chwalić.

— Marcin mówi, że „prawie nikogo” — zapytała niby od niechcenia — to może znaczyć, że ktoś jeszcze mieszka.

— A, bo niby i mieszka — odrzekł stary machnąwszy niedbale ręką — trzy czy cztery tygodnie temu, sprowadziła się jakaś biedota na facyatkę, a że to nigdy nie wychodzi, to prawie jakby nie mieszkała.

— Jaktó? — wykrzyknęła Wańdzia — na tę facyatkę co ma trzy łokcie długości i trzy szerokości, w której nie ma ani pieca, ani kominka, jak można tam mieszkać!

— Ja to samo mówiłam — rzekła Marcinowa — ale co począć, naparła się gwałtem, no i co było robić. Ale widzisz stary — zwróciła się do męża — wybajaleś, a tyle naprosiła, tyle namolestowała, coby nie mówić, że tam kto mieszka. No, ja choć niby kobieta utrzymałam język.

Marcin się zakłopotał.

— Prawda — rzekł, trąc czuprynę — jakoś wcale nie chcąc wygadałem się przed panienką, nikomu do tej pory

ani słówka nie pisałem, no stało się, niech tylko panienka da przyrzeczenie, co nikomu nie powie.

— Otóż to — wtrąciła Marcinowa — ty stary nie utrzymaj cudzej tajemnicy, a od dziecka chcesz aby to potrafiło.

Ale Wańdzi pochwlebiało to, że posiada tajemnicę, rzekła więc z żywością:

— O! możecie być pewni, że dotrzymam, nikomu, nikomu nie powiem, niech Marcin będzie spokojny, przyrzekam, i przekonacie się, że słowa dotrzymać umiem.

— Bo też i nikomu na tem nic nie zależy, siedzi sobie cicho, spokojnie, za cały kwartał zapłaciła z góry to i co nam do niej.

Ale dziewczynka posmutniała.

— Mój Boże — rzekła — na taki mróz w nieopalonym kącie siedzieć, gdzie ona sobie co ugotuje, czem się rozgrzeje. Jakaż ona musi być biedna.

— I to prawda — rzekła Marcinowa — panienka zaraz o tem pomyślała, a nam to jakoś nie przyszło do głowy. No, ale i to prawda, że prosiła aby o niej nie myśleć i nie kłopotać się, że ona sobie da radę, ot, wyszło z pawięci, że tam siedzi, gdyby nie panienka... ha, człowiek ma tyle swego na głowie, że o cudzej biedzie niema czasu pomyśleć.

— Ach, muszę już iść — rzekła Wańdzia, okrywając się chustką — rodzice może już wrócą niedługo, mateczka gniewałaby się nie zastawszy mnie w domu.

— A niech panienka pamięta o przyrzeczeniu — rzekł Marcin, którego sumienie zaniepokojonem zostało zdradzeniem tajemnicy — niech panienka nie powie nikomu o tej nieznajomej z poddasza.

— Możecie być spokojni, mój Marcinie, przyrzekam wam raz jeszcze — rzekła Wańdzia, pospieszenie żegnając staruszków.

Dnia tego była smutna i zamyślona, zwracała nawet uwagę swem zachowaniem, często roztargnionem, a zapytana odpowiadała z zakłopotaniem:

— To nie mateczko, myślę sobie tylko, że tyle biednych jest na świecie, którym zimno, mróz tak uparcie trwa długo, ach Boże, żeby też raz już zelżało.

— Dziś zebrało ci się na czułości — rzekł Władek, zjadając pieczeń z buraczkami — co pomoże się smucić, kiedy na to poradzić nie można.

— Żle mówisz mój chłopcze — rzekł ojciec — współczucie nad niedolą biednych jest oznaką miłości bliźniego, którą wszyscy powinniśmy być ożywieni.

— Ja to wiem ojezulku, tylko... doprawdy, ja nie lubię się smucić — odrzekł Władek rezolutnie — żebym to mógł we wszystkich piecach biednym napalić, no, to co innego, ale tak..

I chłopiec wzruszył ramionami.

— Nie napaliłbyś i w jednym, nie myśląc o tem.

— Nie napaliłbym ojezulku choćbym myślał trzy dni, ba, i rok cały. Jakbym miał dużo pieniędzy, był bardzo bogaty — mówił, przybierając sobie pieczeni — bo, ho, to co innego, litowałbym się nad biednymi.

Sięgnął po salaterkę z kompotem, i nałożył sobie na talerzyk kilka dużych połówek jabłek.

— Gdybyś był bogatym — rzekł ojciec — myślałbyś najpierw, aby zjadać przysmaki, do których upodobanie masz wielkie.

— Hm — mruknął chłopak zawstydzony nieco — to prawda, że lubię dobre rzeczy, ale co za kompotem z jabłek to przepadam.

— Aż tak? — rzekł ojciec.

— No, może i nie przepadam, ale lubię — poprawił Władek.

— Człowiek nie powinien być niewolnikiem takich upodobań — rzekł ojciec — smakosz jest wstętny.

Władek, który słuchając ojca zjadał ulubiony swój kompot, zatrzymał łyżeczkę, którą niósł już do ust i zapytał:

— Co zrobić aby czego nie lubić?

— Pomyśl sam nad tem — rzekł obojętnie pan Brzeski.

Chłopiec wahał się chwilę, brew marszczył, nareszcie postawił talerzyk na stole i uśmiechnął się do ojca.

— Trzeba pracować nad sobą — rzekł ze szczerością — ja coś naprawdę zaczynam smakować w dobrych potrawach, ojciec ma słuszość, to nie przystoi mężczyźnie.

— To nie przystoi i kobiecie — odezwała się Wańdzia, która powoli otrząsnęła się z zamyślenia.

— Nie chciałem ci przecie ubliżyć, wiem, żeś ty zawsze lepsza odemnie.

Przez parę dni jeszcze Wańdzia śledziła nieznajomą i Biedusia, ale wkrótce nastały noce ciemne, śnieg spadł duży i nikt się już nie pojawiał na dziedzińcu.

Tak upłynęło dni kilka, gdy raz Wańdzia napróżno wołała Biedusia na obiad, nie przyszedł, nie było go wcale w komórze.

wybrnąć z tej tajemnicy, i z tego śledzenia cudzych czynności, czego wiedziała, że mama nie lubi.

Była zbyt młodziutką aby umiała rozróżnić kiedy nam wolno wejść w sprawy bliźnich, a w tym razie nie wiedziała czy postępowała dobrze czy źle, zajmując się tak bardzo tą kobietą z poddasza.

Była niespokojna i smutna, serce jej ścisnął jakiś żal tajemny, w myśli panował dziwny, nieznany jej dotąd zamęt.

Nieznajoma, opuszczona widocznie kobieta, budziła w niej litość, współczucie. Jakże chętnie chciałaby pocieszyć nieszczęśliwą, ale, jak się do niej dostać, jak otworzyć te drzwi tak szczelnie zamknięte, jak się pokazać tej, która od ludzi ucieka i stroni?

Wszystko to dla dziewczynki było niezrozumiałem, a naj-



N a g a s a k i .

— Czyżby się przeniósł do tej nieznajomej — myślała zasmucona dziewczynka, bo Biedusia lubiła bardzo, i żal by jej było, gdyby ją miał porzucić.

Przed wieczorem Bieduś wbiegł do pokoju, był jakiś niespokojny, kręcił się przy nogach Wańdzi, ale oglądał się ciągle na drzwi, widocznem było, że radby był wyjść jak najprędzej.

Wańdzia postawiła mu miseczkę z obiadem, który schowała dla niego, pies jadł chciwie, z pospiechem, a potem pobiegł do drzwi spoglądając na nią tym rozumnym wzrokiem, który u niego tak lubiła.

Otworzyła mu, a nie zamykając drzwi, przez szparę śledziła gdzie pójdzie.

Pies jak strzała puścił się na schody i znikł w jednej chwili.

— Coś w tem jest — pomyślała dziewczynka — czy aby nieznajoma nie chora.

Żałowała, że przyrzekła Marcinowi nie mówić nic o tem nikomu, powiedziałaaby mamie, choć teraz nie wiedziała jakhy

więcej dziwił ją Bieduś, w jego przesiadywaniu tam, było coś nienaturalnego.

Wańdzia umiała się zastanawiać, wiedziała więc, że nie jedzeniem ta kobieta do siebie zwabia psa, który nigdy nie był głodnym, a i dziś z taką chciwością zjadł obiad a potem tak spiesźnie pobiegł na górę.

Wańdzi przyszło na myśl, czy mieszkanka poddasza nie zachorowała, w takim razie kto jej tam dogląda?

Dziewczynka zadrżała.

— O Boże! — wyrzekła głośno prawie.

Nikt tego nie zauważył jednak, bo w tej chwili przybyli goście i mama wyszła by ich przyjąć.

Wańdzia ucieszyła się z tego, będzie więcej swobodną, postanowiła bowiem dziś koniecznie zajrzeć na poddasze, może ta kobieta potrzebuje pomocy?

Usiadła do książki czekając sposobnej chwili aby się wydalić.

Z ŻYCIA ROŚLIN.

Zaledwo młoda roślinka przebiła powłoczkę nasienną i wysunęła się nad powierzchnią ziemi cieniutką zieloną łodyżką, już jest zmuszona staczać walki, aby sobie byt zapewnić. Delikatne korzonki wybierają się w podróż w celu szukania wilgoci i części pożywnych w ziemi, zajętej już przez legiony korzeni. Łodyga musi, czy to gwałtem, czy podstępem wydostać się z pomiędzy przygniatających ją roślin, aby zdobyć dla młodych listków przynależną im część powietrza i światła.

przez nie igrając, a jego uboczne, haczykowate korzonki, wyrastające licznie z łodygi, czepiają się podpory, obok której wypadek pozwolił mu się urodzić, lub którą wyszukał pełzając po ziemi. Dzikie wino czepia się zwykle krzaków. Groszek pachnący przekształca niektóre ze swych gałązek na cieniutkie niteczki, jakby wąsy delikatne, które rozchodzą się w różnych kierunkach w celu szukania oparcia. Gdy włókienka te spotkają w sąsiedztwie silniejszą łodygę, owijają się wkoło niej spiralnie, a sąsiadka chcąc nie chcąc musi utrzymywać giętkie gałązki, które ciężar liści pochylił już ku ziemi. Znaczna liczba pnących się roślin nie chce powierzyć ani kolcom, ani ubocznym korzeniom, ani wąsom spiralnym obowiązku podtrzymywania ich w górze. Staranie w tym



Yokohama.

W walce tej drzewa cieszą się największymi przywilejami. Pień ich wspaniały uraga surowej zimie; rok każdy dorzuci im objętości, ani jeden promyczek słońca ich nie mija.

Rośliny zielne nie mają przed sobą tak jasnej przyszłości. Rok ich urodzenia jest częstokroć i rokiem śmierci także, delikatna łodyga nie może ich wynieść wysoko ku słońcu. Jedne więc żyją u stóp olbrzymów, których gęste liście skąpo wydzielają im światła, ale w zamian za to utrzymują w ich ciele świeżość; inne więcej niezależne idą szukać w oddali od drzew, jasnego słońca, w którego świetle kąpią się całe, ale upał za to suszy ich łodygi.

Są inne jeszcze, niemniej ciekawe, które, mając łodygę ledwo grubości małego palca, potrafiły wynieść się ponad sąsiadki, a nawet spinają się na szczyty najwyższych drzew, dla tego też nazwano je roślinami pnąciami.

Aby dojść do celu, nie gardzą żadnymi środkami. Jeryzyna np. zaopatrzona jest w kolce, które czepia się wszystkiego co napotka. Bluszcz nie zna przeszkody. Nie boi się najwinniośleszych murów, ani drzew olbrzymich, skacze

względnie bierze na siebie sama łodyga, owija młode drzewko, jakby wąż długi, którego skręty z początku wolne, zacieśniają się coraz więcej. Ci goście nieproszeni, groźni niekiedy dla ofiary, jaką wybrali, mają licznych u nas przedstawicieli, należą do nich chmiel, powój i wiele innych.

Rośliny te, gdy raz znajdą się na drodze, która ma je doprowadzić do światła, nie tracą już czasu, wznoszą się w górę z wielką szybkością. Jeżeli okoliczności sprzyjają, jeżeli pora jest ciepłą i wilgotną rosną tak prędko, że w kilka godzin przybywa im tyle, iż mogą się owinać naokoło podpory. Nie sądźcie, aby zwoje te były przypadkowe, bezładne. Przypatrzcie się łodydze fasoli, a przekonacie się, że zwoje będą szły zawsze w kierunku od strony lewej do prawej, u powoju bywa to samo, chmiel zaś przeciwnie zwija się zawsze od strony prawej ku lewej. Ruchy te obserwować można z bliska, na gałązce powoju polnego, jeżeli wyrwiecie go, spotkawszy na przechadźce i przesadzicie do skrzynki, zbliżając balkon lub okno.

Początkowo zostawcie waszą gałązkę bez podparcia,

przekonacie się, że koniec gałązki niedługo opisze w powietrzu okrąg koła, jakby szukał nieistniejącej podpory. Wbijcie teraz w ziemię obok rośliny kolek, długości mniej więcej metra; a spostrzeżecie po dniach kilku szybkie podnoszenie się lodygi, zawsze spiralne od strony lewej ku prawej.

Pozwólcie sobie jeszcze na złośliwą zabawkę odwiniecia kilku ostatnich zwojów i zawińcie je w stronę przeciwną. Powój będzie się wahał czas jakiś, wreszcie wezwie pomocy liścia, który kurecząc przycisnie się do tyczki, a od tego miejsca zwróci się w stronę przeciwną i zacznie swój bieg normalny, dając przykład wytrwałego oporu w tem, co jest przeciwne jego naturze.

W JAPONII.

Bardzo niedawno jeszcze bo dopiero blisko dwa lata temu jak wieści o krwawych zatargach pomiędzy Japonią i Chinami, do tego stopnia zajmowały całą Europę, że zapewne i niejeden z pomiędzy młodych czytelników naszych, ujrawszy przed sobą geograficzną kartę Azji, mimowolnie zwracał wzrok ku miejscu, gdzie wśród najnieprzystępniejszych toni Oceanu Wschodniego, najeżonych od spodu groźnemi dla żeglarzy rafami, rozciąga się Japonia. Pozostaje ona w takim samym położeniu względem stałego lądu Azji, jak wyspy Wielkiej Brytanii, względem stałego lądu Europy.

Japończycy, którzy z powodu łagodnego klimatu, żyzności gruntu i rozlicznych skarbów kopalnych zawartych w łonie ziemi, nie cierpieli nigdy niedostatku, zmuszającego do szukania tego, na czymby im zbywało u cudzoziemców, rozwinęli znakomicie swój własny przemysł i w zarozumiałości swojej poczytując się za jakieś wyższe istoty, przez długi czas wzbraniali do siebie przystępu, nie tylko Europejczykom, ale nawet i swoim azyatyckim sąsiadom. Niebezpieczne rafy podwodne, oraz panujące często w owych stronach orkany i cyklony morskie, sprzyjały nader dzielnie temu zupełnemu odosobnieniu Japonii. W Europie dopiero w XIII-tym wieku powzięto niejakie wiadomości o jej istnieniu, dzięki najślawniejszemu podróżnikowi średnich wieków, Markowi Polo, który dopłynąwszy do wyspy Nipon, zwiedził ją i opisał.

Portugalczycy zagnani niespodziewaną burzą na wybrzeża Japonii w roku 1543, zabawiwszy tam przez czas dłuższy, rozsiewali za staraniem św. Franciszka Ksawerego wśród mieszkańców ziarno nauki Zbawiciela, które byłoby się tu pomyślnie rozrodziło, gdyby mu nie stanęły na przeszkodzie z jednej strony intrygi Holendrów, z drugiej zaś zabobon i pogaństwo zakorzenione w najwyższych warstwach narodu.

Następstwem tego był edykt cesarski w r. 1638, którego ofiarą padło mnóstwo świętych misyonarzy i pobożnych krajowców, pomordowanych w najokropniejszy sposób za wiarę. Blisko przez dwa następne wieki Japonia była szczelnie zamknięta dla wszelkich obcych narodowości, z wyjątkiem Holendrów, którzy na wyspie w pobliżu Nagasaki, posiadali nieznaczną osadę; i dopiero w roku 1854 Stany Zjednoczone północno-amerykańskie wymogły, że otwarto kilka ważniejszych portów dla żegluga europejskiej.

Od tego też czasu postęp cywilizacji zaczął się na każdym polu uwydatniać w Japonii.

Sztuka wojenna, hodowanie pożytecznych zwierząt i roślin, rękodzieła, budownictwo i żegluga, zaczęły się stopniowo udoskonalać. Obecnie wiele rodzin wysyła stąd corocznie swoich synów do znakomitszych miast europejskich, dla wykształcenia w naukach i przeniesienia cywilizacji na grunt ojczysty. Przy takim postępowaniu Japonia w ten sposób

zyskała w krótkim czasie imię najoświeczonejszego z azyatyckich krajów i po upokorzeniu sąsiadów swoich Chińczyków, wzrasta coraz więcej w zamożność i znaczenie.

Miasta jej niezmiernie ludne zdobią wspaniałe zakłady wyższego przemysłu, mające na celu ułatwienie stosunków międzynarodowych.

Dwa z nich: Nagasaki na wyspie Kin-sin, około 100,000 mieszkańców, oraz Yokohama, która z małej osady rybackiej, wzrosła w przeciągu kilku lat do znaczenia pięknego miasta.

Tylko wiara chrześcijańska pomimo odwołania w r. 1873 edyktu cesarskiego, grożącego prześladowaniem i śmiercią jej wyznawcom, nie może się dotąd rozpowszechnić w Japonii. Istnieją tu rozmaite religie i sekty niewiele różniące się pomiędzy sobą. Oprócz wyznawców Konfucjusza, znaczna część mieszkańców należących do wyższych klas społecznych, trzyma się religii Sinto, polegającej na czczeniu rozmaitych duchów. Kwitnie tu również buddaizm w VI jeszcze wieku z Korei przeniesiony.

Lew świętego Marka

(Z ANGIELSKIEGO E. A. Henty)

przekład K. P.

(Ciąg dalszy).

— Odpocznijmy trochę; rozbójnicy nie będą wiedzieli gdzie nas ścigać i rozbiegną się na wszystkie strony, a my jeżeli natrafimy na jednego albo dwóch, to damy sobie z nimi rady.

— O nie! nie jesteśmy jeszcze w bezpiecznem miejscu i nie możemy odpoczywać. Mocenigo wysadził na ląd ze stu ludzi, którzy się rozsypali po całej wyspie, uciekajmy dalej.

Jeden ze służących obejrzał się i zawołał:

— Podpalili dom! całe dolne piętro jest w płomieniach.

— Spodziewałem się tego — rzekł kupiec nie przestając biec — wiedziałem, że ze złości iż nas nie znalazł, zniszczy mi dom. Ale on się spodziewa, że nas łatwiej znajdzie przy świetle.

— Gdy się tylko schowamy do lasku, który mamy przed sobą, to nas nie znajdzie, choćby się wszystkie zabudowania paliły.

Przez gaj przeszli powoli; opodal wznosił się pagórek, wdrapali się na niego i ze smutkiem patrzyli na zniszczenie. Cała willa stała w płomieniach, ogień przerzucał się na sąsiednie budynki.

— Nie rozpaczajmy — rzekł w końcu kupiec — dom się odbuduje, ale ty Franciszku opowiedz, w jaki sposób znów jesteś naszym zbawcą.

— Zanim zacznę opowiadać, chciałbym wiedzieć czy są jakie wojenne okręty w porcie i czy daleko stąd do miasta.

— Ze cztery mile, szliśmy cały czas w tym kierunku. Patrz! — zawołał — widać nowe łuny. Szeroko się rozbiegli ci rozbójnicy.

— Ale czy są statki wojenne w porcie — nalegał Franciszek.

— Są trzy, gdyż doniesiono, że krążą tu okręty korsarskie i że nam galery giną bez śladu. Z początku nie chciałem wierzyć. Kapitan który przywiózł tę wiadomość mówił mi, że ciebie spotkał i że cię uprzedził, potem nadeszły listy od moich agentów, ale nie było żadnej wzmianki o twoim statku. Zacząłem się niepokoić, a kiedy w dalszym ciągu nie otrzymywałem wiadomości o tobie, zacząłem wierzyć, żeś

wpadł w ręce korsarzy i przybyłem tu sam na statku wojennym, który wysłał rząd na prośby tutejszego gubernatora.

— W takim razie nie mamy chwili do stracenia. Trzeba uprzedzić gubernatora, że na przeciwnym brzegu wyspy wylądowali korsarze, że palą i rabują. Jeżeli się pospieszymy to galera może opłynąć wyspę i przeciąć im odwrót.

— Masz rację — rzekł Polani wstając — idźmy nie tracąc chwili czasu. Dziewczęta niech zostaną pod opieką służących, a najlepiej niech się schronią do willi Carla Maffei. Korsarze nie dojdą tak daleko; będą chcieli wrócić przed ranem ze zdobyczą na okręt.

XIV.

Śmierć prześladowcy.

Signor Polani był tak dobrze znany u gubernatora, że gdy się zjawił w nocy, służba bez wahania wpuściła go do domu i poszła zbudzić pana. Gubernator dowiedziawszy się, że korsarze pładrują po drugiej stronie wyspy i że ich okręt został na opiece tylko dwóch ludzi natychmiast posłał do kapitanów galer wojennych, aby obudzili załogę i gotowali się do drogi. On sam miał dowodzić wyprawą. Kazał następnie bić w dzwony i do obrony wezwać mieszkańców. Ci, pod dowództwem kilku oficerów powinni byli napaść na rabujących korsarzy i przeszkodzić im szerzyć dalsze zniszczenie.

W przeciągu pół godziny, dwustu ludzi stało pod bronią do walki z rozbójnikami, którzy grabili ich mienie. Kapitan, zobaczawszy, że wszystko jest w porządku, zeszedł do portu wraz z Polanim i Franciszkiem i kazał się zawieźć do galer. Tu cała załoga była na nogach. Rozwijano żagle i marynarze siedzieli przy wiosłach, aby pomagać, gdyż w porcie nie było czuć mocnego wiatru.

Gubernator uprzedził dowodzącego statkami o celu wyprawy, ten rozesłał wiadomości do kapitanów poszczególnych statków, podniesiono kotwicę i okręty wypłynęły na pełne morze. Domagano się aby Franciszek dokładnie oznaczył miejsce wylądowania piratów, ale ten odrzekł:

— Nie wiem, gdyż nie widziałem wybrzeża, cały czas siedziałem na dnie statku i dopiero w nocy, gdy korsarze spuszczały łodzie wsunąłem się pomiędzy nich, ale już nie nie widziałem.

— Signor Polani mówił mi, że chociaż masz strój prostego rybaka to jednak jesteś jego przyjacielem. W jaki sposób dostałeś się na okręt piratów?

— On mi w drodze opowiadał swoje przygody — rzekł Polani, i doprawdy trudno wierzyć uszom własnym. Płynął tutaj na pokładzie galer „Nasos” i został schwytany przez Ruggiera Mocenigo, o którym waszej ekscelencji opowiadałem i który został teraz korsarzem. Ruggiero osadził go w więzieniu na małej wysepce w pobliżu Tunisu, a sam gotował się do podróży na Korfu, aby porwać moje córki. Franciszek Hammond uciekł z więzienia wszedł na ten sam statek, którym płynął Ruggiero i uprzedził korsarzy, aby nas ostrzegli przed groźnym niebezpieczeństwem. Czy to nie zadziwiające?

— Zuch z ciebie młodzieńcze! — zawołał gubernator gdyby nie ty, dowiedzielibyśmy się zapóźno o rabunkach, aby ukarać korsarzy. Co za łotr ten Ruggiero Mocenigo! I pomyśleć, że ten człowiek plami jedno z najzacieńszych nazwisk w Wenecji! Mam nadzieję, że niebawem przyjdzie i na niego koniec. Czy to szybki statek?

— O! szybko wiosłują, przekonałem się o tem, gdy gołili nasz „Nasos”.

— Chyba go schwytamy zanim podniesie kotwicę, bo nasze statki ciężkie i wiosła używamy tylko do pomocy, gdy wiatr nie jest dość silny.

— Co wasza ekscelencja zamierza uczynić?

— Gdy się przybliżymy do miejsca, gdzie prawdopodobnie stoi okręt korsarski, każę kapitanom tamtych dwóch galer wypłynąć o jakie parę mil na pełne morze, aby w razie

ucieczki przecięli mu odwrót. My będziemy płynęli jaknajbliżej brzegu i w ten sposób musimy się z nim zetknąć.

Około czwartej po północy statki się rozdzieliły i okręt wiozący gubernatora zbliżył się do brzegu. Kapitan kazał rozwinać wszystkie żagle i złożyć wiosła.

— Wiatr jest co prawda bardzo słaby, ale posuwa nas naprzód. Jeżeli będziemy dalej wiosłowali to mogą nas usłyszeć, odejść linę i uknąć. W cichą noc jak ta, słysząc plusk wiosła bardzo daleko.

Galera posuwała się jak widmo. Nad wyspą czerwieniły się luno, gęsto jedna po drugiej, ale tem ciemniej było na morzu, tam gdzie padał cień od wybrzeża. Nie wyjmowano sondy, z obawy, że statek wpłynie na mieliznę. Milczenie panowało na pokładzie i wszystkie oczy szukały korsarskiego okrętu. Z daleka dolatywały zmieszane głosy, które stawały się coraz wyraźniejsze.

— To pewnie nasi napadli na rozbójników, którzy uciekają do swego okrętu — zauważył gubernator.

— W takim razie okręt musi być niedaleko. Zaczyna dzień i niebawem zobaczymy go, naturalnie jeżeli jeszcze stoi na kotwicy.

Kiedy galera opłynęła wystający cypel, ujrano na tle jasnego nieba rysujące się maszty i żagle korsarskiego okrętu. Na wybrzeżu toczyła się ciągle walka.

— Łódź odpływa do okrętu — zawołał jeden z marynarzy.

— Bierzcie się do wiosła, teraz nam nie umknie. Zanim podniosą kotwicę, już my ich dosięgniemy.

Marynarze natychmiast rzucili się do wiosła i wyteżyli wszystkie siły, aby ukarać piratów, którzy jakby urągając potęgę Wenecji, niszczyli jedną z najbogatszych posiadłości. Tymczasem trzy łodzie płynęły do rozbójniczego okrętu.

— Dalej chłopcy! — wołał kapitan — musimy na nich napaść, zanim wezmą się do wiosła.

Na okręcie spostrzeżono galerę i Franciszek, który stał na przodzie statku słyszał wołanie o pośpiech. Ludzie pędem wbiegali na pokład, jedni rzucili się do żagli, inni chwytali wiosła, na okręcie panował zamęt nie do opisania. Narazie oficerom udało się uspokoić załogę, rozwinięto żagle i wszyscy wzięli się do wiosła, ale już było za późno. Galera wenecka nadpłynęła całym pędem, zarzucono haki i załoga wpadła na okręt korsarski.

Piraci wiedzieli co ich czeka i chociaż liczebnie o wiele słabsi, zebrali się około dowódcy postanawiając drogo sprzedać swoje życie. Ruggiero Mocenigo, wściekły, że mu się nie udało wyprawa i przenosząc śmierć nad haniebnym powrót do Wenecji, rzucił się naprzód z taką wściekłością, że prawie oczyścił pokład z napastników.

On sam walczył z dowódcą galer i za trzecim złożeniem przeszył mu gardło żelazem; tymczasem Wenecjanie opamiętali się i wrócili tłumnie na pokład korsarski. Prowadził ich teraz Polani, chcąc osobiście ukarać człowieka, który go tyle razy napastował, Franciszek trzymał się niedaleko niego.

— Ruggiero Mocenigo, zdrajco i nikczemniku, twoja godzina wybiła.

Ruggiero obejrzał się dokoła zdziwiony, że słyszy swoje nazwisko, gdyż na statku nazywano go wprost kapitanem. W niepewnym świetle poznał Polaniego i skrzyżował z nim miecze.

— Nie przesądza Polani, może twoja godzina wybiła. Obaj rzucili się na siebie z wściekłością. Polani był dotychczas silny i wprawny w robieniu bronią, lecz jego przeciwnik miał przewagę młodości. Walka była prawie równą, gdy Polani nagle poślizgnął się na zlaną krwią deskach i upadł. Już Ruggiero wznosił miecz, aby nim przebić przeciwnika, gdy nadskoczył Franciszek i podbił mu broń do góry.

— Tym razem mam wolne ręce, może się zmierzymy Ruggiero?

Ruggiero krzyknął ze zdziwienia. Więc ten chłopiec, którego on okuł w kajdany i wtrącił do więzienia o pięćset

mil stąd, ten chłopiec stoi przed nim? Przez chwilę wpatrywał się jak tygrys, potem krzyknął:

— Teraz się pomszczę! — i rzucił się na Franciszka, ale natrafił na przeciwnika równego sobie.

Przez chwilę walczyli jednakowo, a potem nagle Ruggiero zachwiał się i upadł na wznak, uderzony w czoło oszczepem przez jednego z Wenecyan, bijących się na przedzie statku.

Ze stratą naczelnika nadzieja opuściła korsarzy. Brońili się odważnie, każdy z nich ginał z bronią w ręku, ale już dla tego tylko, że widzieli, że nie mogą się spodziewać litości. W kwadrans po zabiciu Ruggiera wytopiono piratów i wrzucano ich ciała do morza.

Bitwa już była skończona, kiedy nadpłynęły dwie inne galery, które z pełnego morza dostrzegły walkę. Ponieważ głównie dowodzący został zabity, najstarszy z kapitanów objął komendę. Rozkazał zaraz opatrywać rannych i pochować trzynastu zabitych Wenecyan na cmentarzu w Korfu.

— Dzięki tobie Franciszku wyszedłem cało — rzekł Polani — nie wiedziałem, że jesteś tak blisko i byłem pewien, że więcej nie wstanę.

Gubernator, który z pokładu galery przyglądał się bitwie, zbliżył się do młodego bohatera i gorąco mu winał.

— Widziałem wasze spotkanie i byłem zdziwiony, żeś dotrzymał placu najlepszemu szermierzowi w Wenecyi. Kiedy nabrałeś takiej wprawy w walce na miecze?

— Nie pierwszy to raz Hammond oddał znaczne usługi rządowi, gdyż on to przyszedł z pomocą Pisaniemu w bitwie pod Antium.

— On! — zawołał zdziwiony gubernator, słyszałem od tych, co przed miesiącem przybyli z Wenecyi, że galera Pisaniego została obronioną przez młodego Anglika, ale nigdy nie sądził, że owym zbawcą jest chłopiec, prawie dziecko. Ile masz lat młodzieńcze?

— Ośmnaście, ale od dzieciństwa zaprawiałem się do wojennych ćwiczeń.

O dziewiątej galery wróciły do portu, prowadząc ze sobą schwytany okręt. Kiedy dostrzeżono je z miasta, ozwały się dzwony, na domach wywieszono flagi i cała ludność zebrała się na wybrzeżu, aby powitać zwycięzców.

— Gdy tylko wylądujemy — rzekł Polani — pośpiesz do domu gubernatora; moje córki już musiały przybyć; uspokój je co do rezultatu wyprawy. Ja muszę towarzyszyć gubernatorowi do ratusza i pewnie nieprędko będę wolny.

Franciszek zastał dziewczęta zaniepokojone i niecierpliwie wyglądające wieści.

— Gdzie ojciec? — zawołały widząc że sam wchodzi.

— Zdrow jest i przysłał mnie ażebym was uspokoił

— Dzięki Bogu! myśmy tak były niespokojne. Przychodzili tu ludzie, którzy mówili, że z brzegu widać było zaciętą walkę, na pokładzie korsarskiego okrętu, ale, że jedna tylko galera go napadła. Myśmy dobrze wiedziały, że to musi być galera, na której był gubernator ojciec i pan, a ojciec był tak wściekły na Moceniga że gotów był na wszystko się narazić. Pewnie brał udział w bitwie.

— A jakże — odrzekł Franciszek — sam walczył z Ruggierem i byłby go trupem położył, gdyby się nie po-

śliznął i nie upadł. Ale ja naturalnie, byłem przy jego boku i zatrzymałem nieczemnika przy sobie. Zaraz potem zabił go odłam oszczepu.

— Więc już jesteśmy uwolnione od tego prześladowcy? Zaczynam swobodniej oddychać, bo doprawdy już wątpiłam, że się zdołamy ukryć przed nim. Nie zostałabym nigdy jego żoną, raczejbym umarła, on powinien być się tego domyśleć.

— Mówiłem mu i ja to samo, a wie pani co mi odpowiedział. Porwę obie córki Polaniego, jeżeli umrze jedna to się z drugą ożenię.

Dziewczęta krzyknęły przerażone.

— To prawda, nie myślałam, że ma taką broń przeciwko mnie! Wolałabym umrzeć, niż zostać żoną Ruggiera, ale tembardziej nie naraziłabym siostry na to. O! już ojciec wraca.

— Udało mi się wcześniej odejść, niżeli sądziłem. Jak się macie dziewczęta. Musiał wam Franciszek opowiedzieć wszystkie nowiny.

— Mówił nam, żeś się bił sam z Ruggierem. Czy się godziło narażać życie?

— Ale nie mówił wam pewnie, że gdyby nie on, gdyby nie jego przytomność umysłu, jużbyście ojca nie miały. Nie wiem doprawdy, jak mu wyrazić naszą wdzięczność, bo co raz to nowe zaciągamy zobowiązania.

— Jak my się wywdzięczymy? Chyba przyjdziemy mu z pomocą gdy będzie się znajdował w trudnem położeniu i dla niego narazimy życie nasze!

— O! tego nie trzeba. Dawałem sobie dotychczas jakoś radę, może mi Bóg i nadal nie odmówi swojej opieki. W każdym razie dziękuję za dobre serce.

— Co my ojciec teraz pocznemy?

— Jutro gubernator wysła jedną galę do Wenecyi z wiadomością o wytopieniu korsarzy, my na niej wrócimy. Każę tu odbudować wile, ażebyśmy na wiosnę znów mogli w niej zamieszkać. Nie wyobrażałem sobie, że można mieć tyle kłopotu z powodu córek.

— Ojciec, to nie moja wina.

— Ja też ciebie nie oskarżam moje dziecko — rzekł śmiejąc się kupiec — lecz kontent jestem, że się już to skończyło. Ale tymczasem bądźcie mi zdrowe; jadę z gubernatorem na przeciwny brzeg wyspy, aby obejrzeć szkody. Podobno ze dwadzieścia wsi spalili korsarze i ludność w pień wycięli. Trzeba się o tem przekonać i zdać raport do rządu

Nazajutrz odpłynęli nasi przyjaciele do Wenecyi, dokąd przybyli bez najmniejszej przygody. Zaczęły się zaraz przygotowania do ślubu Maryi z Rufinem Giustinianim, na którym był obecny Franciszek, gdyż Marya zapowiedziała, że nie pozwoli, ażeby tylokrotny jej zbawca odjeżdżał w daleką podróż nie pobłogosławiwszy jej związku.

(d. c. n.)

PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE rs. 4, na prowincyi w kraju i zagranicą rs. 5 — stosownie do tej ceny półroczna i kwartalna.

ADRES REDAKCYI, ULICA Mazowiecka Nr. 10 NOWY.

TREŚĆ: Jeżozwierz meksykański (z drzew.) — Nieznajoma z poddasza, powieść przez Bronisławę Porawską. — Z życia roślin. — W Japonii (z drzeworytami). — Lew świętego Marka (przekład K. P. z angielskiego G. A. Henty). — **Dodatek:** Nie czyni drugiemu co tobie niemiło, wiersz p. M. D. (z drzew.) — Baśń o królewiczu Hołubku, rozsianem ziarnie i dobrotliwym pasterzu p. Z. Morawską. — Mali Robinsonowie w skałach nadmorskich, przełożyła M. B. — Łamigłówni i rozwiązania. — Skrzynka dolistów. **Dodatek książkowy:** Orla skała powieść miss K. Yonge przekład T. O.

Redaktorka Ludwika Hauke. Доволено Ценаурою. Варшава 20 Апрель 1896 г. Wydawczyni Marya z Chomętowskich Balińska.

W drukarni Noskowskiego, Warecka Nr. 15.

WIECZORY RODZINNE

NIE CZYŃ DRUGIEMU CO TOBIE NIEMIŁO.

Wyborne ciasteczko raz na podwieczorek
Od babuni dostał mały Teoderek,
W torebkę je wsunął, podziękował grzecznie
I na później przysmak chce schować koniecznie.
Więc zadowolony spieszy raz do domu,
Mając zamiar ciastko zjeść sam pokryjomu,
Zanim się ktokolwiek o takowem dowie,
Bo z bratem się dzielić nie chciałby w połowie.



Aż tu na podwórku całkiem niespodzianie
Rozległo się głośnie kogucika pianie;
Ptak musiał być głodny i zdawał się prosić
O kruszynek parę, bo głód ciężko znosić.
Ale Teoderek, sobek to nielada,
Na prośby koguta nic nie odpowiada,
I ani mu w głowie, dla takiej przyczyny
Pozbawiać się ciastka choćby odrobiny.
Kogucik tymczasem już znecierpliwiony
Obiega chłopczyka z tej i z tamtej strony,
Wreszcie jednym skokiem w dziób zdobył swą chwyta
I dla Teodorka z ciastka dzisiaj kwita!



Więc ze łzami w oczach i blizki rozpaczy
Zrozumiał dopiero jak wiele to znaczy
Co w książeczce jego wypisane było:
„Nie czynźe drugiemu, co tobie nie miło”.

M. D.

BASŃ

O KRÓLEWICZU HOŁUBKU,
KOZSIANEM ZIARNIE I DOBROTLIWYM PASTERZU.

p. Z. Morawską.

(Dalszy ciąg).

Idą więc ciągle, pot z czoła ocierają, głód im doku-
cza, oni nic, tylko idą.

Piastunka bieży naprzód a oni za nią: przeszli już
pole, przebyli szeroki rów przy drodze, przeszli drogę na
poprzek, weszli do lasu, już tak są zmęczeni, że im tehu
nie staje, ale żaden nie śmie pierwszy ustać w drodze,
albo też do zamku się wrócić.

Las gęsty, przedzierają się przez zarośla, żeby choć
gdzie jagódkę uszczknąć, ale gdzie tam, przecież to do-
piero żdziebełka roślinek wychodzą z ziemi, gdzież się
tam jagódki spodziewać.

Południe, słońko coraz więcej dogrzewa, las szumi
nierozwita jeszcze zielenią, ptaszki przycupnęły na nie-
dokończonych gniazdkach, zmęczyły się przy robocie,
odpoczywają.

Ale dwór królewicza Hołubka odpocząć nie może;
piastunka idzie wciąż, jakby jej lat ubyło a sił przybyło,
jakżeby jej się dać wyprzedzić.

Wreszcie las począł rzednieć a na skraju, tuż pod
lasem łączka.

Ba, takac to tam i łączka, toż to za ledwie z ziemi
wysuwają się maleńkie czerwono-zielone żdziebełka. A na
tej łączce stoi pastuszek a przy nim wychudzone baranki,
skubią one wątłą trawkę, a jedno malutkie jagnię mizer-
niejsze od innych u nóg jego spoczywa.

Pastuszek dobrotliwie na nie spogląda, a jagnię pa-
trzy mu w oczy, jakoby rozumiało wzrok pasterza a i mo-
wy jego dobrotliwej słuchało.

Piastunka ujrawszy owego pastuszka, przypadła do
nóg jego i z wielką pokorą jakby jakiego władcę pytać
zaczyna.

— Dobry pastuszk, nie widziałeś gdzie naszego
królewicza Hołubka.

A pastuszek w miejsce odpowiedzi rzecze:

— A jakżeś ty kobieto tutaj trafiła?

— Szłam za śladem naszego królewicza Hołubka.

— Jakież był ten ślad? — pyta znów pastuszek.

A piastunka na to:

— A po tych ziarnkach, com mu wyspała do kie-
szonki, a on je pogubił w drodze.

— Wracajże kobieto w spokoju, a patrz aby te
ziarnka nie zmarniały, a gdy te wyrastać zaczną, zielenić
i wonią swego kwiecica całą okolicę napełnią, wróci wasz
królewicz Hołubek!

Piastunka podniosła oczy na mówiącego, chciała go o coś jeszcze zapytać, ale gdzież tam. Od pastuszka takie złote promienie i takie blaski biją, że oczy starej piastunki światłości takiej znieść nie mogą.

Pastuszek się też precz oddał, ale idzie tak jakby nie dotykając ziemi; złote blaski go otaczają, a na rękę unosi ono mizerne jagnię, które u nóg jego spoczywało. Westchnęła więc piastunka i spuściwszy głowę wraca do domu.

Wraca sama, bo dwór cały, szambelanowie, ochmistrzynie, doktorzy i mędrcomie, dawno już, kiedy w lesie drogi biegły na wszystkie strony, każdy poszedł w inną, nie mówiąc o tem drugiemu.

Wraca więc piastunka tą samą drogą kędy szła za królewiczem, żalność ma w sercu za swoim Hołubkiem, ale myśli sobie:

— A no, wolać Bożę, kto tam wie, co komu sędzono, a toć ów pasterz, co to marne jagnię niósł na rękach, może tam i królewicza do siebie przyczarować.

Wzdycha więc nieboga i idzie, przeszła las, ominęła dróżyny co się w różne strony rozchodziły; przeszła drogę, przebrnęła rów i weszła znów na pole czarne, grzęzkie, od wiosennych wód rozmiękle.

Patrzy, aż tu całą smugą zieleni się zboże, jak okiem zasięgnąć, zielono i zielono wązkim, długim pasem.

Piastunka stanęła z podziwu, stoi, patrzy, głową chwieje i rzecze:

— Nikt tu nie orał i nie siał, a skądże takie piękne zboże wyrasta.

Ale idzie wciąż, na skraju owej zieloności, i ją dokola ogarnia a błogość serce przejmując:

— Toć tą samą drogą szedł królewicz Hołubek a ona za nim podążała... Ani chybi, tylko z rozsianych ziarenek tyle zboża wyrosło — rozważa sobie. Westchnęła, ale się już tak bardzo nie frasuje jeno myśli: — Znikł ci królewicz Hołubek, ale nam pamiątkę po sobie zostawił.

(d. n.)

Mali Robinsonowie w skałach nadmorskich.

przełożyła M. B.

(Dalszy ciąg).

Przyptyw zaczynał się w południe, więc trzeba było wcześniej zabrać się do roboty. Mewa przyleciała do nich sama i zaczęła ich dziobać po nogach, jak gdyby się dopraszała kawałka ryby.

— I tej pewnie już się krewetki musiały przyjeść — rzekł śmiejąc się Iwonek. — Pobiegnę na górę i przyniosę jej główkę rybią. — I skoczył prędko, wołając z góry.

— Czekaj tylko na mnie z poszukiwaniem!

Melcia nie potrzebowała długo czekać na braciszka, powrócił za chwilę niosąc kawałek obiecaną rybę. Mewa odgadła zaraz, że czekają na nią przysmaki i trzepocąc skrzydłami podbiegła do dzieci.

— Iwonku — zawołała Melcia — patrz, czy nie miałam racyi mówiąc, że mewa niema skrzydła złamanego, była tylko skaleczoną, ale niezadługo będzie już mogła pofrunąć.

— Aby jej tylko nie zabili, taka ładna ptaszyna!... Jak ci się zdaje siostrzyczko, czy ona o nas zapomni, czy też będzie tu powracała czasami?

— Kto wie, zobaczymy. Tymczasem coraz się więcej oswaja, widzisz jak chodzi za nami... Ale trzeba zobaczyć, jak się też udał połów dzisiaj.

W zastawie znalazły dzieci jednego płaszcza i jednego homara. Płaszcz przeznaczony na obiad, a homar został schowany na dzień następny na śniadanie.

— Teraz, chodźmy raz nareszcie zacząć poszukiwania tajemniczej szkatułki!

Gdy tylko znaleźli się około otworu, z którego wy dostała się mewa, ujrzeni, że biegnie za nimi i jak zeszłym razem wsunęła się pod skałę i zniknęła dzieciom z oczu.

— Wcale nie jestem rada, że ona tam wlaźła, będę się bała skaleczyć ją kijem — rzekła Melcia.

— Uważaj tylko — zawołał Iwonek, bo jakbyś ją uderzyła toby uciekła...

Melcia uklękła i z wielką ostrożnością zaczęła wsuwać swój kij w kształcie małego haczyka, jakiego używają do połowu wielorybów. Poczula niebawem przedmiot twardy, który ich tak zaciekawiał... Spróbowała go ruszyć z miejsca, poruszył się trochę i obsunął w jakieś małe zagłębienie, gdzie z łatwością można go było dosięgnąć. Nagle niewielkie wstrząśnienie, z którego Melcia nie mogła zdać sobie sprawy, przewróciło przedmiot w ten sposób, że z wielką łatwością udało się zaczepić go i podciągnąć do góry. Ogonek mewy ukazał się nad otworem, Melcia pomyślała, że zagłębiwszy rękę zdoła może pochwycić, to co tak bardzo zobaczyć pragnęła.

— Czujesz go pod ręką? — zapytał Iwonek, śledzący z ciekawością każdy ruch siostry.

— Czuję.

— Cóż to być może?

— Nie wiem, naokoło pełno błota, wierzch jest miękki, ale spód twardy! Są i końce ostre które kłują mnie w palce...

— Czy to coś żywego?

— Nie.

— Pokazuj-że już prędzej, Melciu!

Po pewnej chwili Melcia wydobyła coś, w rodzaju szkatułki... o formie niezdecydowanej, ani okrągłej, ani czworokątnej... narożniki były zupełnie zatarte.

— Jak to już dawno leżeć tam musiało! — zawołała Melcia.

— Nie wrywaj mi Iwonku, pójdziemy najprzód obmyć błoto i muszle, których się tyle nagromadziło naokoło.

To mówiąc poszli oboje do zastawu, i tu z całych sił poczęli obmywać i wycierać szczegółną zdobycz.

Po wielu wysiłkach, gdy już cała warstwa błota została zeskrobaną, oczom rodzeństwa ukazała się mała szkatułka żółtego koloru, tak ślicznie rzeźbiona, że oboje wydali okrzyk podziwu.

— Jakby koronka miedziana, a nóżki przezroczyste — rzekła Melcia — śliczna szkatuleczka, ciekawa jestem czy się w niej co znajduje?

— Musiało się coś znajdować, bo przy poruszeniu słychać było jakby odgłos przewracających się kamyków.

— Trzeba otworzyć, siostrzyczko!

— Nie mam klucza, a palcami nie mogę.

— Spróbuj, zamek trzyma się słabo, trzeba go podważyć nożem...

Melcia posłuchała rady brata, wieko odskoczyło z ławością, a promień słońca oświecił wnętrze szkatułki.

— Nie mogę oczu otworzyć! — zawołał Iwonek.

— I ja także — podchwyciła Melcia. — Te białe kamyki powiedziałbyś świece różnokolorowe... raz niebieskie, zielone, czerwone! — To mówiąc brała ich pełne garście i napowrót wsypywała do szkatułki, a one toczyły się jedne za drugimi, jak mały strumyczek ognisty.

— Patrz, pod spodem są jeszcze czerwone, zielone... także się świecą!... A te białe orzeszki!... Czy to do jedzenia?... — pytał Iwonek.

— Nie, to muszą być perły! Widziałam raz jak Natalka, pamiętasz, ta córeczka naszej sąsiadki, nawlekała także same perełki na sznurek, dostała je od matki, kosztowały trzydzieści franków na jarmarku, tych tutaj jest daleko więcej, ale daliby za nie ze czterdzieści. Ta szkatulka mała a taka ciężka, zanieśmy ją teraz do groty, a wieczorem będziemy się nią bawili. Policzmy kamyki i zapalimy świecę, ciekawa jestem, czy przy świecy będą tak błyszczeć jak te, które są w koronie Matki Boskiej w naszym kościele.

Postawiwszy szkatulkę w miejscu bezpiecznym, dzieci zaczęły się bawić i gonić.

— Zamknij oczy Melciu — zawołał Iwonek — schowam się, a ty mnie będziesz szukała.

— Ale gdzie, głuptasiu? przecież tu nie ma żadnego schowania.

— Jest, jest, zamknij tylko oczy, to zobaczysz!

— Już zamknęłam, nic nie widzę!

Melcia dotrzymując obietnicy, nie patrzyła zupełnie, gdy wtem rozległ się przeraźliwy okrzyk i Iwonek zawołał:

— Melciu! Ratuj! ratuj!

Strwożona, otworzyła oczy, Iwonka nigdzie nie było, lecz wołania jego coraz głośniejsze nie ustawały... głos pochodził z poza zastawu... nieopodal otworu, przez który przedostawało się morze.

Melcia skoczyła w tę stronę i ujrzała braciszka.. leżał na ziemi z nogami zwieszonymi nad przepaścią, a piasek usuwał się pod jego ciężarem. Starał się uchwycić zastawu, wyciągał ręce...

— Melciu, tonę!... Ratuj mnie prędko!... ratuj...

Melcia pochwyciła jakiś kij, który na szczęście pod ręką znalazła, i położyła się także na ziemi, bojąc się by podwójny ciężar nie przyspieszył obsuwania się ziemi.

— Uchwyc się końca kija, mój najdroższy, ale broń Boże nie próbuj się podnosić.

Iwonek, z większą odwagą i zimną krwią jakby się u takiego dziecka spodziewać należało, z całych sił uczepił się rękami podanego mu kija.

— Tylko się nie wysilaj, a szczególnie nie poruszaj nogami! — powtarzała Melcia, ciągnąc ku sobie drugi koniec kija powoli, powolutku... Z jakąś śmiertelną trwogą stawiała sobie pytanie, czy sił jej starczy dla uratowania braciszka.

Iwonek był ciężki, lecz miłość dodawała jej siły, a gdy wreszcie poczuła, że ciężar stawał się mniejszy, że nogi Iwonka nie wiszą już nad przepaścią, ale jak i reszta ciała leżą na ziemi, z piersi jej dobyło się ciche westchnienie, a usta powtarzały:

— Boże, mój Boże! Jakiś Ty dobry! Jaki miłosierny!...

Gdy już niebezpieczeństwo minęło i oboje uczuli grunt stały pod nogami, rzucili się sobie w ramiona... Ale przestrach był nad siły Melci, ledwo znaleźli się na schodach, gdy poczuła, że się wszystko wkoło niej kręci, skały, grota, straciła wszelką świadomość... zemdlą!...

— Siostrzyczko moja! czyś ty umarła? — wołał Iwonek — powiedz mi, abym i ja umarł także... Melciu, ślicznotko moja, przemów co do mnie!

I malec łkał głośno... Melcia ciągle nieruchoma, blada, nie przychodziła do siebie. Wtedy Iwonek usiadł przy niej, wziął jej głowę na kolana, i począł płakać tak rzewnie, że łzy jego zrosiły całą twarzyczkę ukochanej siostry...

Czyżby jednak te łzy Iwonka wróciły jej przytomność? niewiadomo, dość jednak, że otworzyła oczy.

— Ach to ty — rzekła — jesteś przy mnie, to dobrze... Gdybyś ty wiedział com ja przeszła, co przeszła, widząc cię tam zawieszzonego nad przepaścią! Gdybym była takim tchórzem jak przed chwilą, i wtedy zemdlą, byłbyś zgubiony! Ale nie, nie mogę o tem myśleć, bo czuję, żebym mogła zemdleć poraz drugi! Przrzeknij mi, że już nigdy nie pójdziesz w stronę tej przeklętej dziury, przrzeknij zaraz!

— O, nie bój się, nie zapomnę nigdy zdarzenia dziejszego...

— Ale jakim sposobem to wszystko się stało?

— Sam nie wiem!.. Chciałem się schować, ale przeszkadzały mi znajdujące się tam suche trawy, zacząłem je wyrwać, w tył się przechyliłem i upadłem jak długi. Piasek w tem miejscu był mokry i śliski, poczułem, że nogi moje, nie mają się na czem oprzeć!... Chciałem uklęknąć, a ziemia obsuwała się podemną... Zrozumiałem wtedy, że grozi mi wielkie niebezpieczeństwo i zacząłem wołać do ciebie o ratunek, a ty jak zawsze pospieszyłaś mi z pomocą i uratowałaś!... O, możesz być pewna, że teraz będę bardzo uważny!...

— Cóżeś też myślał, gdy ci groziło takie wielkie niebezpieczeństwo?

— Nic już nie pamiętam... To tylko wiem, że byłem mokry, bo się spociłem ze strachu, gdy ta ziemia usuwała się coraz więcej i więcej... Brrr... Nie mówmy już o tem, samo myślenie przejmuje dreszczem.

— Mnie także — odrzekła Melcia, raz jeszcze całując braciszka.

— Chodźmy już na górę, policzymy kamyki zanim się obiad ugotuje. I przyplływ się zbliża. Jak pomyślę, że teraz leżałbym gdzieś w głębi morza!... Nie chcę nawet na nie patrzeć!

Gdy znaleźli się już w grocie i Melcia nastawiła obiad, Iwonek przyniósł szkatułkę i wszystkie znajdujące się w niej kamyki wysypał na koldrę.

— Przeliczmy najprzód białe orzeszki, Melciu: jeden, dwa, trzy, cztery, pięć... Przeliczył do dwudziestu i stanął.

— Nie umiem liczyć dalej, teraz na ciebie kolej... — rzekł śmiejąc się.

— Dwadzieścia jeden, dwadzieścia dwa...
(d. c. n.).

S Z A R A D A.

przez E. M.

Miło nam, w *pierwszym*, *drugim* zasiawszy w jesieni.
Patrząc jak się łan zbożem na wiosnę zieleni,
Jak pięknie jest w ogrodach — i pomyśleć wtedy,
Że w *trzeciej*, *drugiej* zimą nikt nie dozna biedy.
Wraz, jeśli prośba nasza w modłach niebo wzruszy,
Niech nam łaski promykiem zajaśnieje w duszy.

ŁAMIGŁÓWKA SYLABOWA.

Wyszukać 10 wyrazów, których początkowe litery
złożyć powinny imię i nazwisko dziejopisarza z XV wie-
ku. 1) Imię męskie. 2) Dawna nazwa kraju na Pelopone-
zie. 3) Dopływ Bugu. 4) Królestwo w północnej Europie.
5) Ryba morska poławiająca się także w naszych rzekach.
6) Wyraz łaciński oznaczający zjednoczenie. 7) Miasto
nad Niemnem. 8) Miasto n. morzem Czarnem. 9) Ptak
drapieżny. 10) Zjawisko atmosferyczne. Sylaby: Jó—ar
—na—da—ło—u—gro—o—so—zo—zef—ka—rew—nia—
soś—nia—dno—des—koł—rza—dya—sa

ŁAMIGŁÓWKA W TRÓJKĄCIE.

ułożył Wacław F.

Zapełnić kropki literami
aby pierwszy rząd oraz pierw-
sze litery złożyły nazwę wodza
greckiego w wojnie Trojańskiej.
2) Twierdza nad zatoką Tarencką.
3) Malarz grecki w IV w. przed Chr. 4)
Słynny fortepianista i kompozytor nie-
miecki. 5) Jezioro wśród stepów Kirgizkich.
6) Bózek wojny. 7) Rzeka w Afryce. 8) Zaimek
osobowy. 9) Spółgłoska.

ROZWIĄZANIA DO N-ru 17-go.

Szarady: War — ta.

Łamigłówni sylabowej:

1) Helweci. 2) Egipt. 3) Race. 4) Kirgiz. 5) Ucayale.
6) Landau. 7) Ems. 8) Sandomierz.
Herkules i Tezeusz.

Z a g a d k i:

Wszystkich kotów w pokoju było tylko cztery, to
jest te, które siedziały w czterech kątach pokoju, każdy
kot widział przed sobą 3 siedzące w innych kątach, a ka-
żdy siedział na swym własnym ogonie.

Skrzynka do listów.

Ludka S. ciekawego, od jak dawna papier wszedł w użycie
objaśniamy w kilku słowach, iż w Chinach miał być już znany
przed 2, 000 lat. Dawniej jeszcze w Egipcie wyrabiano papier
z rośliny zwanej papyrusem, a w późniejszych wiekach w Europie
pisano na pergaminie, to jest na skórach odpowiednio przyrządzo-
nych. W początkach VIII wieku po Chr., Arabowie nauczyli się
wyrobu papieru z bawełny w Bucharyi i sztukę tę przynieśli z so-
bą do Hiszpanii. Po stopniowym udoskonaleniu, papier znajduje
dziś rozliczne zastosowanie w przemyśle, ludzie zrobili z niego ma-
teryał tak trwały, że przewyższa pod tym względem stal i żelazo.
Wyrabiają z niego obecnie rozmaite nieprzemakalne przedmioty,
słowem papier oddaje nam wielkie usługi ułatwiając kształcenie
umysłu i dostarczając przedmiotów zabezpieczających wygodę ma-
teryalne.

Zygmunt L. dobre ma serduszko, skoro otrzymane na imie-
niny od ojca pieniądze przeznaczył na kolonie letnie dla biednych
dzieci. W imieniu obdarowanych, jemu i jego siostrzyczce zasy-
łamy podziękowania, pragnąc aby i nadal zawsze skuteczną pomoc
umieli nieść bliźnim.

Juljan W. uwzględnić musi, że nie wszystkie nadsyłane łamigłówni drukowane być mogą, wiele z nich bowiem nie nadaje
się do Wieczorów. To jednak nie powinno go zniechęcać.

Rozwiązania łamigłówek z poprzednich numerów Wieczorów
nadesłali: *Paproć leśna*, *Wesoła Figlarka*, *Juljan W.*, *Gustaw J.*
i *Stefan Pl.* z Kalisza.

Nie dziwię ci się *Wesoła Figlarko*, że wróciłaś z wycieczki
twojej rozradowana kilkodziwnym pobytom z siostrzyczką; przy-
wiązanie rodzinne jest uczuciem szanowaniem nawet wśród mego pta-
siego rodu. Rozumiem, że ci się podobał zakład naukowy, w któ-
rym siostra twoja przebywa. Cisza, spokój w chwilach nauki, du-
ży ogród w którym swobodnie bawić się można w czasie rekreacji,
wszystko to stanowi pomyślnie wychowania warunki z których i ty
zapewne z czasem korzystać będziesz, czego ci życzę z całego serca.

Jaskółka.

Wyszły z druku powiastki dla małych dzieci p. **Maryę Wery-
cho** p. t. „**Dla Józi**” w cenie rs. 1 kop. 20 wydanie ozdobne,
zwyczajne kop. 30.

Otrzymaliśmy zeszyt 3-ci „**Encyklopedyi ilustrowanej wiadomo-
ści pożytecznych**”, wydawanej przez księgarnię **M. Arcta**. Ze-
szyt ten zawiera wyrazy od „**Bast**” do „**Brylant**” i blisko 100 ry-
sunków, tak, że w dotychczas wyszłych 3 zeszytach jest już 225
ilustracyj.